

— Tak, z czasem, zapewne... ale tymczasem przychodzisz pan do mnie, bo nie masz z czego żyć, nieprawdaż?

Gerard Beaupré zarumienił się silnie i pochylił głowę.

— Bo nie mam co jeść, panie — szepnął.

Sernin położył mu rękę na ramieniu i odrzekł chłodno:

— Poeci nie jadają, mój panie. Oni się żywią rymami i marzeniem. Niech i pan tak robi. To znacznie lepiej, niż wyciągać rękę.

Młody człowiek zadrżał, dotknięty obelgą i poszedł ku drzwiom, nie mówiąc ani słowa.

Sernin go zatrzymał.

— Jeszcze jedno słowo mój panie. Czy nie masz pan żadnych środków?

— Żadnych... najmniejszych.

— I na nic pan liczyć nie możesz?

— Mam jeszcze ostatnią nadzieję... Napisałem do jednego z moich krewnych, błagając, by mi co przysłał. Jutro rano będę miał jego odpowiedź. To ostateczny termin.

— A jeżeli nie dostaniesz pan odpowiedzi, jesteś pan zapewne, zdecydowany tegoż samego wieczora...

— Tak, panie.

Powiedział to z prostotą i stanowczością.

Sernin wybuchnął śmiechem.

— Boże! jakżeś pan zabawny, mój dzielny młodzieńcze! I jakież szczere przekonanie w panu! Przyjdź mnie pan odwiedzić za rok — czy zgoda? Pomówimy o tem wszystkim. To takie ciekawe i interesujące, a przede wszystkim tak zabawne! Ha! ha! ha!

I śmiejąc się do rozpuku, z przesadą w gestach i w uklonach, wyrzucił go za drzwi.

— Filipie — przemówił do garsona hotelowego, otworzywszy drzwi ubieralni — czy ty słyszałeś.

— Słyszałem wszystko.

— Gerard Beaupré spodziewa się jutro rano listu, zasiłku...

— Tak — to jego ostatnia deska ratunku.

— Tego listu on nie powinien otrzymać. Gdyby miał przyjść przyjmij go i zniszcz.

— Dobrze wodzu.

— Sam jeden ze służby jesteś w twoim hotelu?

— Tak, jestem ja tylko, kucharka, która sypia za domem i gospodarz, pan Gossard.

— Wiem, wiem. Już się wywie działem. Rodzina p. Gossarda mieszka w Barcelonnette. Otóż jutro pan Gossard otrzyma telegraficzną wiadomość z Barcelonnette, że ojciec jego jest śmiertelnie chory. Tym sposobem przez przeciąg trzech dni będziemy się mogli rządzić w hotelu, jak w własnym domu.

— To świetnie! Ach wodzu, jeszcze jedno pytanie, niech mnie pan uspokoi! Pan wie, że byłem przyjacielem Marka i Hieronima. Czy to prawda, że pan ma wykraść ich z więzienia?

— Prawda najzupełniejsza.

— I kiedy to, mianowicie?

— Jakto, kiedy? Czyż nie oznaczyłem piątku 31 maja? Ja mam tylko jedno słowo.

— Tak, że Marek i Hieronim będą wolni?

— W piątek 31 maja. Możesz na ich cześć przygotować śniadanie z szampanem.

Rozdział IV.

Piotr Leduc umarł, niech żyje Piotr Leduc!

Mrok ogarniał pola. Kształty przedmiotów zacierają się powoli i tylko sylwety wielkich drzew rysowały się na tle ciemniejącego coraz bardziej nieba.

Gęste ciemności zalegały na drodze, prowadzącej do szkoły Genowefy.

Mezyczyna jakiś zapuścił się powoli na ścieżkę, po jakimś czasie przystanął i szepnął:

— Czy ty tu jesteś?

— Jestem — odpowiedział głos, idący z jednej z najciemniejszych kryjówek. — Lecz skąd ty to

— Powiedziano mi w mieście.

— Ach, byłeś tam?

— Byłem. Chciałem zobaczyć, jak daleko zaszedł podziemny ganek.

— Czy się posuwa?

— Znakomicie. Ci włoscy robotnicy pracują, jak krety. Za dwa dni dojdziemy do piwnic trzeciego pawilonu, pawilonu Hortensyi, w samym środku ogrodu Zacisza.

— Żeby tylko nie odkryli...

— To niepodobna. A zresztą mam doskonały pomysł... urządzi się wszystko po temu, by móżdż zalać tunel w razie potrzeby. Gdyby się tam komu zachciało wejść, żywyby nie wyszedł.

— A zresztą co?

— Zresztą?

— Tak, czy jesteś powiadomiony?

— Ach, prawda... otóż...

— Za głosem mówisz. Przyjdź bliżej... Nachyl się... a zatem, jakie masz wiadomości?

— Bardzo poważne. Paweł Sernin mieszka w Palace-Hotel'u, naprzeciw tego pokoju na pier-

— Owszem, właśnie że tak. Są tu rzeczy dla mnie niewyraźne.

Długie milczenie zapanowało między nimi. Nasłuchiwali głosów z pól, głosów bliższych i głosów niepewnych, odległych, mogących zwiastować niebezpieczeństwo.

Nagle drugi z pomiędzy nich zadrżał i rzekł:

— Co ty trzymasz w ręku? Nie, to niepodobna!

— Właśnie, że tak.

— Twój sztylet?

— Tak.

— O księciu myślisz?

— O nim.

— Ależ co już szaleństwo. I tego jeszcze? Na co? Czy masz ku temu jaką przyczynę?

— Naturalnie, mieć muszę.

— Jakąż mianowicie?

— Sernin i Lupin — to jedno i to samo.

— Hę? Co ty mówisz?

— To prawda, którą odkryłem. Na imię mu Paweł, nieprawdaż?

— Tak jest.

— A więc uważaj: Paul Sernine, Arsene Lupin — tu i tam wchodzą te same litery. Paul Sernine, to anagram Arsena Lupin.

— A w istocie... jednakże majster z ciebie, że to odkryłeś.

— I on ośmiela się nosić to imię?

— O, czegoby ten nie śmiał! Dlatego też jego przedewszystkiem obawiać się należy. A jeżeli się jego teraz nie uprzątnie, przekonasz się, że on nas zdusi.

— A więc?

— A więc ja uderzę!

Zwzięte a straszne było to powiedzenie. Tamten zadrżał tylko i umilkł.

Z dziesięć minut upłynęło może.

Potem dał się słyszeć zdala turkot automobilu, zbliżył się nagle i ustał.

— To on — odezwał się pierwszy — oto jest... Wysiąd... Trzymaj mnie za rękę. W chwili, gdy ci rękę ścisnę, wpadnij mu pod nogi, tak, żeby się przewrócił.

— A ty?

— Ja uderzę. Cicho.

Ktoś szybko się zbliżał. Widać było światelko żarzącego się cygara. To podnosiło się, to opadało, a głos nucił jakąś wesołą arietkę.

Sylwetka idącego zarysowała się o kilka kroków od cienistej kryjówki czyhających.

Minęła ich.

— No i... — rzekł drugi z nich — i nie dałeś mi sygnału?

— A no nie.

— Dla czego?

— Gdyż wolę wpierw się przekonać, co on tu będzie robił i może uda się podsłuchać, co mówić będzie. Zostań tutaj. Ja do ciebie wrócę. On musi tedy przechodzić. A wtenczas ja...

Panie — zwróciła się do księcia — pan nie lubi podziękowań

wszem piętze, który ja zajmowałem. Zamieszkał tam zaraz nazajutrz po wypadku z Kesselbachem.

— O, jeśli tak, to on tam pewnie przybył w umyślnym celu. A któż to jest, ten książę?

— Prawdziwy książę, zdaje się, znany w ambasady, członek dwóch wielkich klubów...

— Być może, ale on mnie niepokoi. Poco on wchodzi w naszą grę? Ej, gdyby się tylko ośmielił... A o Piotrze Leduc ciągle brak wiadomości?

— Niema żadnych. Lupin go dobrze schował.

— Otóż to jeszcze jeden, który się miesza do nieswoich rzeczy. Na złe mu to wyjdzie. Ale zobaczmy później. W danej chwili niepokoi mnie ten książę.

— Na co tu czekasz?

— Pilnuję szkoły. Książę tam był wczoraj wieczorem, zaraz po tem porwaniu. Wedle moich informacji ma tam być i dziś znowu.

Przybyły szepnął:

— Że miluchna, to miluchna, ta Genowefa!

— Ot, nie gadałbyś głupstw, wiesz co! Z wszystkimi twemi babskimi historiami ty jeszcze możesz nas zgubić!

— Dlaczego? Z tej strony nie grozi niebezpieczeństwo.

W dwie minuty później książę Sernin, doszedłszy do końca ścieżki i obszedłszy płot, zaszedł od tyłu do szkoły, aż do samej furtki.

Otworzył furtkę, przeszedł przez ogród i wszedł do małego saloniku, który służył za rozmównicę.

— No i cóż, stara — rzekł — tak się tu do was wchodzi, jak do siebie?

Pani Ernemont zerwała się, spostrzegła księcia i skoczyła ku niemu.

— Ty! Ty znowu! Otóż ja nie chcę, ja mam tego dosyć. Przyprowadziłeś mi niegdyś tę małą i powierzyłeś mi ją z temi słowy: „Bierz ją — powierzam ją tobie... rodzice jej nie żyją... weź ją i opiekuj się nią“. Dobrze więc, ona jest pod moją opieką, a ja potrafię obronić ją przed tobą i temi twojemi machinacjami.

Książę ani się poruszył.

— Ależ ty tego nie pojmujesz, nieszcześliwcze, że gdyby ona odgadła prawdę, wtedy ja jestem zgubiona. Wypędziłaby mnie od siebie!

(Ciąg dalszy nastąpi).